DWUTYGODNIK
STARSZEGO HARCERSTWA „WATRA"

FOR MEMBERS ONLY

NASZE ŻYCIE

Rok IV BAD MÜNDER, 23 października 1948 r Nr 22 (105)

archiwum

B. KOJUSA

Modlitwa Nieznanego Żołnierza

Słuchaj.
Jak wiatr cicho i tęskliwie szumi,
Jak zawodzi dziwnie pieśń żałobną.
Monotonny szelest liści tłumi
Pieśń o tęsknocie za wiosną.

I deszcz pada kroplami, jak łzy,
Co wsiąkają w szarej ziemi proch.
Zapomniane wonne śnią się bzy
I jesienny zewsząd płynie szloch.

I czy słyszysz ten daleki śpiew...
Echem płynie hen z odległych pól.
Dzień Zaduszny. To cmentarzy zew.
Echem płynie rozszemrany ból.

Poprzez lasy, łąki i pola
Mogiłami cichymi usiane,
Płynie szara ludzka dola
I zawodzi pieśni zapomniane.

Słuchaj. Czy słyszysz ten zew,
Co zaszumiał niby ludzki jęk,
I co echem rozniósł pośród drzew
Ni to stali, ni to mieczów szczęk.

Słuchaj... bo ja słyszę ten śpiew...
Poprzez wichry przedziera się głos.
Poprzez mgłę widzę ludzką krew
I płonący daleko gdzieś stos.

archiwum

Z mogił sączy się krew.
Świętym zniczem płonie stos.
Mogił nieznany to zew.
Zapomnianych czynów to głos.

I rozszumiał się śpiew, rozjęczał,
I rozdzwonił się głos, rozwinął.
I żałosną skargą rozdźwięczał...
I w dal nieskończoną popłynął.

Hen, na pole rozległe popłynął,
Nad lasami rozkwilił się płaczem,
Nad tym szarym żołnierzem tułaczem
Co nieznany nikomu gdzieś zginął.

SZUKAJMY DROGI

Artykuł Czujnego Burka utrafił w sedno rzeczy. Istotnie, St. Harcerstwo ciągle jeszcze błąka się w labiryntach błędnych kół i ciągle jeszcze nie umie znaleźć właściwej drogi przez puszcze harców, nie umie znaleźć własnej pozycji w rodzinie harcerskiej.

Jeżeli Czujny Burek stwierdza, że (być może) St. Harcerstwo poza granicami Kraju osiąga lepsze wyniki pracy aniżeli St. Harc. przedwojenne w Kraju, to już tym samym mamy duży plus, który możemy zapisać na swoim koncie, ale to jest ciągle jeszcze bardzo mało. Jest rzeczą niewątpliwie zrozumiałą, że warunki pracy są trudne i to właśnie ze względu na brak jasno wytkniętego celu przed nami, ale nie pomoże nam nic tłumaczenie, że... „przecież przed wojną St. Harc. w Polsce też tego celu nie miało..." bo występuje tu zaraz jasno sprecyzowane pytanie: jak długo zatem jeszcze będzie trwało poszukiwanie tego celu, tego łożyska, którym wreszcie popłynie wartko strumień pracy St. Harcerstwa? St. Harcerstwo ciągle jeszcze, jak widać, czeka na swego „Kamyka", który by odkrył drogę właściwą. A może takiej drogi w ogóle nie ma? Nonsens, droga ta istnieje, jest tuż obok nas, tylko nie widzimy jej przez to, że szukamy ciągle gdzieś w zamglonych dalach tego, co leży tuż obok — i to jest przyczyną, dla której jeszcze tej drogi nie widzimy. W przeciwnym razie cały ruch St. Harcerstwa nie miałby celu, a mimo wszelkich mylnych pozorów, nie jest najważniejsza praca zuchowa czy skautowa, tylko jej wynik ostateczny, a więc praca „Starohar-ców", bo ZHP od zucha aż do instruktora nie jest po to, aby prowadzić

pracę harcerską dla niej samej (hasło „sztuka dla sztuki" nawet w dziedzinie sztuk pięknych jest wątpliwej wartości, a wśród ZHP nie ma żadnej racji bytu), ani po to, aby dać tylko dzieciom i młodzieży radosne lata przeżyć, radosne dni „wielkiej gry", ale — i to jest jej celem najważniejszym — rolą jego jest przygotowanie dla Kraju dobrych i rozumnych obywateli. Jeżeli tego celu nie osiąga, to praca ta idzie na marne — cel chybiony! Przecież większość harcerzy po ukończeniu służby w harcerstwie młodzieżowym opuszcza szeregi Harcerstwa zamiast wejść w szeregi St. Harcerstwa. Więc istotnie Harcerstwo młodzieżowe nie spełnia swego zadania? Zarzut bardzo ciężki, ale nie mam zamiaru go stawiać, gdyż tak (na szczęściel) nie jest, a fakt, że następuje w tym miejscu to charakterystyczne załamanie, nie występuje z winy młodocianego Harcerstwa, tylko właśnie z winy St. Harcerstwa. Zjawisko rzucające się w oczy: przecież np. zuch marzy o tym, aby zostać harcerzem, harcerz dąży do zielonego naramiennika skauta, a skaut nie chce wstąpić do Kręgu St. Harc. Coś tu „nie klapuje". Sprawa jest jednak jasna. Ruch zuchowy czy Harcerstwo ciągną dzięki swej atrakcyjności szeregi dzieci i młodzieży z nieprzepartą siłą, tej właśnie atrakcyjności brak jest Kręgom St. Harc. Atrakcyjnym można St. Harcerstwo uczynić tylko przez znalezienie tej właściwej drogi — metody, o której wyżej mówiłem, zatem... błędne koło? Tak, ale bynajmniej nie bez wyjścia, wyjście z tej paradoksalnej sytuacji jest, należy się tylko nieco potrudzić, aby je znaleźć. Nie znaczy to, aby piszący te słowa znalazł już ten cel, ma on tylko już jakby pewne zamglone o nim wyobrażenie, a gdy się zwróci uwagę na ostatnie artykuły różnych instruktorów w „Naszym Życiu" na ten temat, to widać wyraźnie, że już wkrótce metoda właściwej pracy St. Harc. będzie odkryta. Zanim ukończę większą pracę na ten temat (którą opracowuję), chciałbym tu podać kilka uwag.

Cel najbardziej ogólny pracy St. Harcerstwa znany jest powszechnie: to służba publiczna St. Harcerstwa. Podstawą pracy każdego kręgu winno się stać, aby to wielkie hasło przekuć na swoim odcinku na jakiś skromny okruch istotnego czynu, który obciąży równomiernie wszystkich członków. Wzmacnia to niezwykle współżycie „kręgowców" i sprawia, że każdy członek czuje się potrzebnym. Przykładów takiej pracy nie podaję, podali ją już inni przede mną, a potrzeb i okazji do takiej pracy nie brak nigdy i nigdzie, gdziekolwiek się znajdujemy. Jednakże sama „służba publiczna" nie wystarcza. Młodzież w kręgach (przeważnie w wieku 18—30 lat) odczuwa w tym okresie konieczną potrzebę rozrywki, i krąg musi jej tej rozrywki (naturalnie godziwej) dostarczyć. Czy naprawdę Harcerstwo pociąga młodzież tylko mocą swej wielkiej idei? Nic podobnego, ogromne role, rolę magnesu, odgrywają tu wszelkiego rodzaju obozy, zloty, biegi harcerskie etc. Nie godzę się nigdy z tymi, którzy uważają, że w kręgach można już „wielką grę" zakończyć, że to już nie chwyci, że starsza młodzież ma inne dążenia...

We wszystkim tym jest tylko część prawdy, ale w istocie rzeczy młodzież jest wciąż ta sama i ciągle pragnie harcerskiej gry. W Niemczech daje się zauważyć właśnie szczególnie silnie, że przyczyny pewnej ospałości ru-

archiwum

chu St. Harcerskiego leży w braku obozów starszoharcerskich, biegów na stopnie, konferencji etc. Za mało znamy się, a nie znając się, nie mając niemal kontaktów nie możemy wyrobić w sobie właściwej postawy.

Jak słusznie zauważył „Czujny Burek", że człowiek nigdy nie jest JUŻ wychowany, a właśnie ZAWSZE jeszcze się wychowuje i w zależności od tego osiąga wyższy lub niższy tego wychowania poziom. Tu leży też wdzięczne pole do pracy dla Kręgów St. Harc. Pamiętajmy, że do szeregów St. Harc. garną się często ludzie już zupełnie dojrzali, którzy nie byli harcerzami, i okazują wielki zapał i chcą zdobywać stopnie harcerskie (sam widziałem czterdziestoletniego mężczyznę, uczestnika dwóch wojen, który stanął do biegu na H. O. z takim przejęciem, że niech się schowa 12-letni młodzik!). Powtarzam wprowadźmy do „klubowej" atmosfery Kręgów więcej „harcerskości", nie bójmy się „biegów" i terenu; jestem pewien, że to chwyci.

Człowiek ciągle się uczy, wychowuje, zmienia, nigdy więc nie jest za późno, aby człowieka już dawno dojrzałego przetworzyć tak, że stanie się wartościowym (możliwym jest oczywiście i proces odwrotny).

Przed ruchem starszoharcerskim leży wielka rola do odegrania, mianowicie — uzupełnieniem brakujących ogniw sprawicie, aby WSZYSTKA wartościowa młodzież szła w jego szeregi (bez względu na to, czy już poprzednio była w ZHP, czy nie), by w ten sposób tworzyć zastępy obywateli o harcerskiej postawie wobec świata i życia. Wówczas znajdziemy się już blisko największego celu ZHP, jakim jest uharcerzenie społeczeństwa. Żyjemy w czasach niezwykłych, obawiam się, że większość powierzchowniej nieco patrzących na wszystko ludzi, mając zaprzątnięte głowy i serca bieżącą polityką i wypadkami aktualnymi, nie zwraca uwagi na głębsze zjawisko, które się w naszych oczach dokonuje i którego skutki już odczuwamy, zjawisko o skali tak potwornej, że jeszcze bodaj w dziejach świata czegoś równie gigantycznego nie było. Zjawiskiem tym jest bój ostatni między materializmem i światem ideału.

W naszych oczach toczy się walka na śmierć i życie, walka, której front jest wszędzie — przechodzi pośrodku państw, narodów, miast, wiosek; walka, której front przechodzi przez poszczególne mieszkania i rodziny, w której po jednej stronie stoi ojciec, po drugiej syn, z jednej strony matka i siostra, z drugiej ojciec i brat; walka o najwyższym natężeniu; walka bez litości i miłosierdzia; walka o być albo nie być; walka o obraz świata i ludzkości.

Chciałbym, aby ten mój artykuł otworzył niektórym oczy, aby stał się ostrzeżeniem. Wojujący materializm, pragnący zakuć ludzkość w najcięższe kajdany, jakie kiedykolwiek nosiła, a których przedsmak dał nam reżim hitlerowski i komunistyczny, odnosi wciąż nowe sukcesy. Wróg jest pośród nas i w nas samych, spotykamy go, jak drwiąco uśmiecha się wśród sal konferencyjnych dyplomacji światowej, mówi do nas przerażającą pustką duchową słowa, ustami naszego szkolnego kolegi, słychać go w nieszczerym śmiechu kobiet, w użyciu najbardziej prozaicznym ludzi widzących swe „szczęście" tylko w formie brutalnego wyżycia się.

Ten wróg stoi dziś już u wrót zwycięstwa, triumfuje materializm wśród trzech czwartych ludności świata i zasięg jego, powstrzymywany bohatersko przez Kościół Katolicki i takie narody, jak polski (jego najwartościowsze elementy) wciąż rośnie. Pamiętajmy, że tylko od wyniku tej olbrzymiej, a często niedostrzeganej walki, zależeć będzie, czy świat pójdzie dalej drogą wytkniętą przez Chrystusa, drogą, która po trudnych szczeblach ideału poprowadzi ku lepszemu jutru, czy też wtrącony w panowanie bezdusznego materializmu znajdzie się świat i ludzkość na skraju upadku i zezwierzęcenia. Ogromną rolę odgrywa u młodzieży jej postawa i jasne jest dla każdego, że... „jaka będzie młodzież, taką będzie i ludzkość".

Tu widzę wielką rolę St. Harcerstwa, tu leży najważniejsze pole do pracy dla kręgów, do pracy, która będzie pochodnią idei, rozświetlającą mroki materializmu, która wskaże drogę nie tylko swym członkom, ale całemu narodowi, aby zrozumiał, że tylko droga ideału choć twarda i niewdzięczna jest jedyną drogą godną Starszego Harcerstwa.

Sądzę, że mój artykuł nie będzie ostatnim w dyskusji, wywołanej przez „Czujnego Burka". Zdaje mi się, że już wkrótce znajdziemy właściwą drogę. A więc... S z u k a j m y!

Z. B.

Pokłosie emigracyjne

Gdy w dniu 6 sierpnia 1927 roku w Kaliszu Marszałek Piłsudski przemawiał do zgromadzonych żołnierzy w proroczej wizji, tak się wyraził:

„Polskę czekają być może ciężkie przeżycia — podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur..." Prorocze swe ostrzeżenie zakończył nakazem, który tak głęboko zapada w duszę prawdziwego harcerza: „Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym".

Gdy patrzę na nurt życia, w jakim płynie współczesność Polski, nie bez głębokiego żalu i obawy stwierdzam, że jest on przetkany w głąb i wszerz niemi obcych ageutur. I jak ongiś nie brak nam różnego typu domorosłych agentów od zwykłych zawodowych, płatnych „od sztuki", do tych, którzy agentami stają się przez bezmyślne płynięcie z prądem, otaczającego nas wszystkich morza nieprawości.

Przypatrzmy się bliżej temu, co nam jest najbliższe, własnym szeregom: ilu wśród nas jest takich, co nosząc krzyż harcerski, głosząc ustami służbę Bogu i Ojczyźnie, życiem nieporządnym, postępkami swymi dają swej młodszej braci przykład jak najgorszy?

Czyż nie są to agenci obcego nam, wrogiego świata materializmu i bezbożnictwa? Czyż nie dokonują najgroźniejszej dla nas roboty — rozkładu moralnego szeregów? Czyż nie są to agenci, częstokroć bezwiednie spełniający swój niecny proceder pod wpływem tych czy innych motorów: pieniędzy, kobiet czy kolegów? A ci wszyscy, co w naszych szeregach rozpoczynają siać ziarno waśni partyjnych, co pod pozorem walki stronnictw sieją nienawiść Polaka do Polaka, czyż to nie posłuszne narzędzia w ręce naszych wrogów? Czyż nie spełniają z całym partyjnym fanatyzmem służby agenta wrogich nam mocy? Czyż wrogom naszym nie zależy, aby osłabić nas, zamienić na skłóconą masę, by uczynić nas nieszkodliwymi dla ich planów? Że zaś to mogą robić rękoma najszanowniejszych Polaków, że firmę w tej robocie da najszlachetniejsza myśl polityczna w rodzaju idei narodowej lub ludowej, tym lepiej, tym większe masy dadzą się wziąć na lep! Zagadnienie agentur staje aię tym bardziej palące, im bardziej zbliża się moment, gdy emigracja polityczna rozproszy się w diasporze ludów obcych, gdy popękają nici, wiążące nas w jedno społeczeństwo emigracyjne. Jeżeli bowiem emigracja lat 1832—35 nie była wolna od agentur moskiewskich mimo, że na terenie Francji stanowiła zwartą całość, to jak zarysuje się przyszłość dla tych nikłych grupek Polaków, jadących do Australii, Kanady, Argentyny?

Czy to, co miało być żywym protestem przeciwko Jałcie i Paczdamowi, nie przemieni się w garść pyłu rozsianego po szerokim świecie i jak pył wniknie w społeczeństwo obce bez śladu i pożytku?

Rozszalała się plotka — że już, że jutro rozpocznie się nowa masakra, że życie nasze na włosku... Ludzi ogarnia psychoza, gotowi na wszystko, byle uciec! A ja zapytam, czyż nie ma w Europie kraju, w którym by nasze uchodźstwo polityczne nie znalazło spokojnego kąta na przetrwanie w całości — bez rozproszenia się po całym globie? Czyż nie ma kraju, gdzie nasza obecność byłaby życzliwie potraktowana przez rząd i społeczeństwo. Tym krajem jest Hiszpania — kraj antykomunistyczny, katolicki, najprzychylniej dla Polski ustosunkowany. Czemu nasze przedstawicielstwo nie uczyni wysiłku, by rzesze uchodźców politycznych tam właśnie skierować? Odpowiedź prosta: agenci wrogich nam sił wszelkimi sposobami uniemożliwiają takie rozwiązanie, bo może bylibyśmy nadal wyrzutem sumienia naszym sprzymierzeńcom?

Na chwilę warto się zastanowić nad problemem emigracji do krajów anglo-saskich. Wiemy, że podstawą odrębności narodowej jest język, kultura i tradycja. Środowisko, w jakim się znajdujemy, będzie nam całkowicie obce. Będzie ono miało przewagę materialną i moralną — i albo emigrancji ulegną i wyrzekną się swej przeszłości, zrywając tym samym więź z ojczystym krajem, albo zginą, starci w walce o byt.

Cóż nam pozostało? Iść swoją drogą, ciernistą, twardą, niebezpieczną, o głodzie i w znoju najcięższym, służąc jedynie Polsce, miłując Polskę... a nienawidząc tych, co służą obcym!

S. M.

archiwum

Już po oddaniu numeru do druku przyniosło radio wiadomość, iż w dniu 22 października 1948 r. zmarł w Kraju

Jego Eminencja

Ks. Kardynał

AUGUST HLOND

Prymas Polski

Wielki Bojownik o Polskę

Chrześcijańską,

Całą i Niepodległą

Pomódlmy się wszyscy za Jego świetlaną duszę

archiwum

NAMIOT KULTURALNO-LITERACKI

ustawia Koliber.

Prasa całego świata donosi o podporządkowaniu harcerstwa w Kraju reżimowi komunistycznemu.

*
* *

Nie pierwszy raz, nie pierwszy raz
nad polską zawisł młodzieżą
rosyjski but, moskiewski bat —
nie pierwszy raz woła się w świat,
że giną ci, którzy wierzą!

Lecz gdy tam brat, lecz gdy tam druh
czerwone cierpi przymierze —
nas tu jest więcej. My za dwóch
sztandar niesiemy — zwycięży duch —
jeszcze są polscy harcerze!

W londyńskie mgły, Afryki piach
my zaniesiemy idee,
czuwać będziemy, gdy tam strach —
my budujemy dalej gmach,
gdy w domu rządzą złodzieje.

Będziemy iść, będziemy nieść
lilie na piersiach czystą —
wasz zmarły honor, waszą cześć,
harcerską będziem dźwigać treść
i wara komunistom!

My tutaj mur, my tutaj spiż
dla pokrzepienia serca —
i jakże ciężki teraz krzyż,
lecz jakże lekka jest ta myśl:
jeszcze jest wolne Harcerstwo!

Słowa jak żagiew, słowa — znicz,
my przechowamy na piersi —
będzie się żarem ciągle tlić
do chwili, gdy będziemy iść
do wolnej Polski Harcerskiej!

PALCEM PO PŁÓTNIE

Zasznurowany namiot

Kolacja nie była luksusowa, ale znośna. Ponieważ okolica jest bezpieczna, więc warty nie ma potrzeby wystawiać, namiot się więc zasznurowuje, każdy się układa wygodnie na swoim posłaniu — niektórzy nawet wchodzą w śpiwory. Mała błękitna lampka, zawieszona na kołku namiotowym, kołysze się melancholijnie. Jest przytulnie i bezpiecznie. I ciepło. W tym przeświadczeniu i z doskonałym samopoczuciem zasypiają wszyscy, ukołysani błękitnym światłem.

W nocy zrywa się wiatr. Początkowo słaby, tak że tylko słychać, jak szumi w gałęziach, później silniejszy — gra już na linkach namiotowych. Ktoś się budzi, ktoś podnosi głowę.

— Wiatr! — powiada.

— No, to co? — odpowiadają inni. — Namiot jest dobrze zasznurowany! Śpij i daj spać innym.

A tu wichura się wzmaga, zaczyna nieść ze sobą piasek, gałęzie, trawy, zmienia się powoli w burzę. Wokoło namiotu wyje tysiącami głosów, szarpie kołki, wydyma płótno, z gwizdem przelatuje górą. A w namiocie rozlega się chrapanie. Kolacja była znośna, w śpiworach ciepło, wiatr ? — a niech sobie szaleje. Przecież namiot jest zasznurowany.

Taki zasznurowany namiot — to właśnie emigracja, a ci, których chrapanie rozlega się, jak gdyby się nic nie działo, to młodzież emigracyjna. Wystarczy wziąć do ręki pierwszą z brzegu gazetę, ażeby natrafić tam na ostrzeżenia i rady publicystów, na ich obawy, dotyczące komunizmu. Tak się wszyscy jednak przyzwyczaili do tego antykomunistycznego tonu w prasie, do tego samego tonu w radio, że na nikim to nie robi wrażenia. Wydaje się chwilami, że młodzi ludzie przypuszczają, że taki stan rzeczy może trwać sto lat. Oczywiście, zawsze jest łatwiej mieć ręce opuszczone i swobodną myśl, której się nie zaprząta rzeczami przykrymi, czy budzącymi lęk. Gdyby jakiś cudzoziemiec wdał się w obszerniejszą rozmowę z młodym Polakiem, zostającym na emigracji, to pierwsze pytanie, jakie by mu zadał, brzmiałoby: „Dlaczego pan zostaje na emigracji?" A młodzieniec odpowiedziałby:

archiwum

„Bo w Polsce panuje ustrój komunistyczny". „No, dobrze — ciągnąłby cudzoziemiec — a co to jest ten ustrój komunistyczny?" I tu młody człowiek musiałby się przez chwilę zastanowić. „Ustrój taki — odparłby wreszcie — pozbawia człowieka wolności osobistej i państwowej. Ustrój ten likwiduje niewygodnych mu ludzi i nie znosi opozycji. Wszyscy tam muszą się podporządkować rozporządzeniom partii komunistycznej". Cudzoziemiec wobec tego interesuje się, co młody emigrant ma zamiar robić za granicą. Co ma robić? Ano, czekać. Czekać, aż się zmieni sytuacja, aż się polepszy.

Cudzoziemiec: — Jakim sposobem?

Młodzieniec: — Będzie wojna, a potem już nie będzie komunizmu.

Cudzoziemiec: — I jaki jest pana udział w tym wszystkim? Co pan tu za rolę odgrywa?

Młodzieniec: — Ja czekam. Wyjeżdżam do Kanady, Brazylii, Afryki i czekam.

Cudzoziemiec: — I sądzi pan, że inni za pana zwalczą komunizm, bo panu on się nie podoba, a wtedy, kiedy już go nie będzie, poproszą pana o powrót do wolnej ojczyzny.

Młodzieniec: — Pan tak ujmuje sprawę, że trudno mi dyskutować.

Na szczęście rozmowy takie mają rzadko miejsce. Cudzoziemcy nie rozmawiają z nami i przyglądają nam się pilnie, a my — jak to my. Zasznurowany namiot, ciepły śpiwor — oto dopiero postawa protestacyjna! W czasie, gdy na całym zachodzie Europy, na całym świecie organizują się narody i społeczeństwa do walki z komunizmem, my, którzy twierdziliśmy, że pierwsi widzimy niebezpieczeństwo komunizmu i jego całą potworność, siedzimy zasznurowani i jak mumie czekamy na transport. Nasza postawa nie jest postawą czynną, nie jest postawą antykomunistyczną, nie jesteśmy przygotowani do żadnej walki. Podczas, gdy o nas reżim dzisiejszy w Polsce mówi najpotworniejsze rzeczy, które przeciekają za granicę i sączą się, jak jad, w obce społeczeństwa, my tylko uśmiechamy się ironicznie. My wiemy swoje. Nie wystarczy wiedzieć — trzeba jeszcze coś pokazać, trzeba udowodnić, że się zna argumenty, zwalczające ideologię nam obcą i wstrętną. Ażeby dyskutować naprzykład o książce, której się nie lubi, trzeba znać jej wady, trzeba znać jej najsłabsze i najmocniejsze miejsca. A iluż to młodych ludzi dzisiaj mogłoby się pochwalić znajomością Marksa i jego doktryny? Czym wróg jest groźniejszy, tym lepiej musi się znać jego metody i sposoby działania. A my tylko wiemy, że wróg jest, że się czai, że rośnie, wiemy nawet, że na nasz teren sięga swoimi mackami i wszczyna ferment, ale nie robimy nic, ażeby temu przeszkodzić. Namiot jest zasznurowany w dalszym ciągu szczelnie. Nie wtedy czas na ubieranie się, na wkładanie butów, na umocowanie sprzętu, gdy skrzydła namiotu, rozpętane jak żagle, darte są przez burzę piaskową.

Nie po to się o tych rzeczach mówi i myśli, żeby komuś zatruwać życie, czy żeby go straszyć, lecz trzeba wywołać w młodzieży tę świadomość, że jest tu po to, żeby spełnić określony cel, aby wyrazić swoje zdanie i wykrzyknąć swój protest. Protest czynny.

Nie można tu podawać recept czy sposobów na to, w jakiej formie ma się przejawiać ten zdecydowanie czynny udział młodzieży w ogólnej walce o wolne prawa człowieka, o wolny Kościół Katolicki. Postawa taka jest koniecznością dziejową i sama znajdzie swój wyraz. Trzeba jednak zacząć.

Rozsznurujmy namiot — obudźmy się.

Ciekawostki ze świata

Przyczyna rozwodu

Gazety amerykańskie doniosły, iż niejaka pani Shannon w mieście Mineola stanu Nowy Jork wniosła do sądu skargę rozwodową, motywując ją tym, iż mąż zmusza ją do czytania Marxa. Sąd uznał przyczynę za wystarczającą; pani Shannon przyznano alimenta.

Nie można się skarżyć

Pytają kogoś, kto świeżo wrócił z Rosji, jak tam jest. „Nie można się skarżyć" — pada odpowiedź. „Jak to nie można — odzywa się ktoś z towarzystwa — wiem na pewno, że jest tam dużo gorzej niż w Polsce, gdzie ludzie bardzo się skarżą". „No tak — odpowiada zainterpelowany — a w Rosji nie można się skarżyć".

Wojna na afisze kinowe

Przyjazd gen. de Gaulle do Marsylii dał asumpt do zabawnej wojny na afisze filmowe między komunistami a gaulistami. Przypadek zdarzył, że w Marsylii wyświetlano film „Krwawe areny". Komuniści wyzyskali okazję i pewnej nocy na wszystkich afiszach, zapowiadających film, nalepili kartki z pisem „Corrida de Gaulle". Pech komunistów sprawił, że równocześnie w Marsylii wyświetlano i inny film pt. „Czerwony smok".

Następnej nocy na wszystkich afiszach film ten figurował z podpisem „Stalin".

Za czy przeciw gawronom

W dziennikach angielskich, w szczególności w dziale listów do redakcji „Times'a", toczyła się niedawno dyskusja, czy należy strzelać do gawronów. Ministerstwo rolnictwa wydało komunikat, iż gawrony (corvus frugilegus) zjadają rocznie 26.000 ton zboża i że wobec tego należałoby 80% ich powystrzelać.

Wśród miłośników ptaków podniósł się krzyk. M. in. w obronie gawronów energicznie wystąpił poeta John Masefield. W dyskusji wysuwano argumenty natury nie tylko sentymentalnej, ale praktycznej: okazuje się mianowicie, że gawrony zjadają rocznie 7.000 ton szkodliwych owadów.

archiwum

Jak wiedeńczycy dostali od Rosjan banany

„Time" opowiada zabawną historię z dziejów sowieckiej okupacji w Austrii. Któregoś dnia wiedeńczycy ku swojemu miłemu zdziwieniu znaleźli w sklepach banany. Banany te przyszły do Wiednia na zasadzie sowiecko-włoskiej umowy o handlu wymiennym dla rosyjskich wojsk okupacyjnych. Sowiecki inspektor jednak ,który nigdy przedtem w życiu bananów nie widział i skosztował jednego w łupinie, uznał, że owoce te są niesmaczne i że nie nadają się do spożycia w wojsku i wobec tego polecił sprzedać je do sklepów dla ludności cywilnej.

ZJEDNOCZONE PAŃSTWA

(ciąg dalszy)

13 pasków i 48 gwiazd

Weźmy do ręki mapę Stanów Zjednoczonych i przypatrzmy się kształtowi poszczególnych stanów. Dziwnie zaiste wyglądają granice tych państw. Jakież to wszystko regularne, jak cyrklem i linijką wymierzone! Dla ludzi starego świata, gdzie kształt państw jest tak daleko od symetrii, gdzie granice państwowe są tak w swych granicach pogmatwane, ta prawidłowość amerykańska wydaje się czymś nienaturalnym. W Europie nawet jednostki podziału administracyjnego nie były wymierzone tak sztywno, tak bez liczenia się z warunkami terenu. Czyż do pomyślenia są państwa, których terytoria mają takie kształty?

Rzecz w tym, że państwa wchodzące w skład Stanów Zjedn. powstawały zupełnie inaczej niż państwa europejskie czy wszelkie inne w Starym Świecie. Wielki badacz Ameryki, lord James Bryce, już przed pół wiekiem zauważył, że ze stanów tylko jeden — Kalifornia — posiada granice naturalne, wyznaczone przez linię wybrzeża, przez góry i rzeki a nie przez ruch cyrklem i ekierką na mapie. Ale Kalifornia jest czymś bardzo specjalnym. Jest odcięta pd reszty Stanów Zjedn. wałem potężnych gór i ponadto miała odrębną historię. Dzieje innych stanów układały się inaczej i w dziejach tych właśnie owa osobliwa prawidłowość kształtów była czymś bardzo ważnym. Z pewną tylko przesadą można powiedzieć, że historia poszczególnych stanów rozpoczynała się od wykreślenia na mapie regularnego kształtu ich terytoriów. O tej historii, która jest zarazem historią całej republiki, wypadnie nam teraz słów kilka powiedzieć.

Każdy z nas zna sztandar Stanów Zjednoczonych. Osobliwy to sztandar z tymi dwubarwnymi paskami i jednobarwnymi gwiazdami. Ale Amerykanin wie, co wyraża każdy szczegół „Starej Chwały" (The Old Glory), jak zazwyczaj nazywa swój sztandar narodowy. 48 gwiazd to symbole 48 stanów, które w chwili obecnej tworzą unię. Kiedyś gwiazd było mniej — mniej wtedy stanów należało do unii. Gwiazdy 48-a i 47-a przyby-

ły w roku 1912, gdy „terytoria" Arizona i Nowy Meksyk — zostały obdarzone prawami stanów i przyjęte do związku. Możliwe, że w niedalekiej przyszłości dojdzie gwiazda 49-a: w chwili, gdy to piszę, Kongres rozważa sprawę przyjęcia do unii wysp Hawajskich. Kandydatami na stany są również Alaska i wyspa Puerto Rico. Związek północno-amerykański nie jest czymś zamkniętym. Konstytucja jego przewiduje, że każde „terytorium", jeżeli odpowiada określonym warunkom, może jako nowy stan stać się członkiem Stanów Zjednoczonych.

Nie powiększy się natomiast na „Starej Chwale" ilość podłużnych pasków. Jest ich 13 i symbolizują one takąż liczbę dawnych kolonii angielskich, które 4 lipca 1776 roku uroczyście zerwały swą łączność z koroną brytyjską i podjęły walkę o niepodległość. Te 13 pierwszych stanów to początek i kolebka dzisiejszego wielkiego mocarstwa, zajmującego przestrzeń znacznie od nich większą, bo rozciągającą się przez cały kontynent od Atlantyku aż po Pacyfik.

Owe kolonie były również prawidłowo wymierzone. Albowiem kształt ich był ustalany w Londynie, gdy rząd Jego Brytyjskiej Mości różnym towarzystwom handlowym i osobom prywatnym udzielał przywilejów na kolonizowanie królewskich posiadłości na atlantyckim wybrzeżu Ameryki Północnej. Posiadłości te były ogromne i bardzo słabo zaludnione. Ledwie tu i ówdzie żyły nieliczne gromadki Czerwonoskórych. Biali Czerwonoskórych traktowali jako nieprzyjemną zawadę, której jak najszybciej należało się pozbyć. Nie była to jednak jakaś poważniejsza przeszkoda. Biali koloniści nowe ziemie uważali za własne i starali się ich bogactwa w całej pełni wykorzystać.

Ziemie to były wielkie, a kolonistów — zwłaszcza w początkowym okresie — mało. Fakt, że granice, jakie je ustaliły nadania królewskie, były tak regularne, kolonistów zupełnie nie wzruszał. W regularnych czy w nieregularnych granicach nadań królewskich było aż nadto miejsca, by budować nowe życie. A gdy je zbudowali w regularnych granicach owych nadań, zaczęli je budować na terenach dalszych, również je wymierzając cyrklem i linijką.

Przy wyznaczaniu terytoriów pod początkową kolonizację narysowanie na mapie granicy miało na celu oddzielenie od siebie dwóch różnych nadań królewskich. Zwłaszcza w okresie początkowym były to proste linie, które od oceanu biegły w głąb kontynentu. Ale to „w głąb" traktowano bardzo dowolnie. Często w ogóle nie dbano, gdzie się ta linia a z nią i sama kolonia zatrzyma. O wnętrzu kontynentu wiedziano przecież tak mało. Kolonie tworzono na wyrost.

Była jednak przegroda. Naturalną przegrodą było pasmo gór Appalachów. Nie są to jednak góry niedostępne a nawet w XVII wieku można je było przebyć. Rząd brytyjski w pewnym okresie próbował zrobić z nich przegrodę prawną: zakazał kolonistom przekraczania pewnej linii, poza którą pozostawione były tereny dla Czerwonoskórych. Była z tego powodu wielka burza, Czerwonoskórym zakaz nic nie pomógł, rządowi brytyjskiemu

archiwum

bardzo zaszkodził, a koloniści nadal wędrowali przez Appalachy w głąb kontynentu.

Był to olbrzymi kontynent. Jednakże w okresie, gdy powstawały Stany Zjednoczone, wielka jego cześć była w rękach Anglii, Hiszpanii i Rosji. Polityka Stanów Zjedn. konsekwentnie zmierzała do tego, by obszary te znalazły się we władaniu unii. Osiągano to drogą kupna, w paru wypadkach — oręża. Niewątpliwie dla przyszłości Stanów Zjedn. największe znaczenie miała transakcja handlowa, jaką w roku 1803 Prezydent Tomasz Jefferson przeprowadził z Francją. Było to „kupno Luizjany" (Lousiana Purchase). Jefferson, korzystając z ówczesnych trudności Francji, skłonił rząd paryski do odstąpienia Stanom Zjedn. kolosalnych obszarów (powierzchnia ich wynosiła przeszło dwa miliony kilometrów kwadratowych!), obejmujących najważniejszą część doliny rzeki Missisipi (obecny stan Luizjana stanowi tylko drobną część tego obszaru). Koszt tranzakcji nie był wysoki. Skarb waszyngtoński wydał na to kupno 15 milionów dolarów. Ówcześni oponenci Jeffersona oskarżali go o marnowanie dobrych amerykańskich dolarów. Zdanie historii jednak było odmienne. Kupno Luizjany stało się fundamentem, na którym zbudowana została późniejsza potęga młodego narodu.

Inne transakcje tego rodzaju były również udane, choć w rozmiarach swych objektów skromniejsze. W roku 1819 Stany Zjednoczone kupiły od Hiszpanii za mizerną sumę około 6 i pół miliona dolarów piękną Florydę. W roku 1867 Stany Zjedn. kosztem 7,2 miliona dolarów pozyskały od Rosji arcybogatą Alaskę. W inny sposób unia w roku 1845 powiększyła się o Texas. Ten ogromny kraj (trzy razy większy od Polski!) oderwał się od Meksyku i ogłosił się niezależną republiką. Jednakże po 10 latach niepodległości republika Texas postanowiła przyłączyć się do unii i została przyjęta jako nowy stan. Z posiadłości zdobytych drogą wojenną najważniejsze były obszary odebrane Meksykowi (Nowy Meksyk i części stanów przyległych) oraz Hiszpanii (Puerto Rico i wyspy na Pacyfiku). W ten sposób z wyjątkiem Kanady i części Meksyku, cały kontynent północno-amerykański znalazł się we władaniu Stanów Zjednoczonych.

Każda z tych transakcji i każde z tych zwycięstw wojennych nie tylko powiększało teren federacji, ale i otwierało możliwości dla osadnictwa. Ruch mas ludzkich ze wschodu na zachód — oto jeden z najważniejszych motorów historii narodu amerykańskiego.

Pod względem prawno-ustrojowym w kolonizowaniu tym były możliwe dwie drogi. Można było przyjąć, że tylko 13 „początkowych" stanów tworzy właściwy związek, a reszta ma charakter kolonii podległych owej trzynastce i przez nią zarządzanych. Można było przyjąć również, że nowonabyte obszary są materiałem na przyszłe stany, że mają one służyć sprawie stałego rozszerzania się związku, do którego wchodziłyby nowe ziemie, zaludnione i zdolne do bytu państwowego. Łatwo jest zrozumieć, że dzieje Stanów Zjedn. inaczej by się potoczyły, gdyby wybrano pierwszą drogę, a inaczej — gdyby wybrano drugą.

Uchwalona 17 września 1787 Konstytucja Stanów Zjednoczonych wybrała drugą drogę. Uznała ona, że nowe stany mogą być przez Kongres

przyjmowane do unii, zastrzegając jedynie, że w wypadkach, gdy nowy stan powstaje jako wynik odseparowania się jakiejś części stanu już istniejącego lub jako wynik połączenia się kilku stanów istniejących, musi być na to zgoda zainteresowanych stanowych ciał ustawodawczych oraz samego Kongresu Stanów Zjednoczonych (Art. IV, Sekcja 3).

W ten sposób ruch z początku gromadek a z czasem mas ludzkich w kierunku zachodnim niósł ze sobą możliwość powstawania nowych państw-stanów, przyszłych członków stale rozszerzającej się federacji. Przyjęto, że każde „terytorium" (rozumiano przez to obszar, który podlega kolonizacji) może jako stan być przyjęty do unii, jeżeli ma wystarczającą ludność (liczby ulegały zmianom), potrafiło zorganizować swe władze państwowe i opracowało konstytucję, zgodną z tymi zasadami, jakie głosi Konstytucja Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście, olbrzymie te tereny, będące dopiero w trakcie początkowej kolonizacji, musiały być jakoś zorganizowane. „Kupno Luizjany" musiało być podzielone na jakieś mniejsze jednostki. Wykrojono z niego szereg „tetytoriów". Była to, rzecz jasna, operacja na mapie. Któż mógł się bawić w dokładne wytyczanie granic niezaludnionych i niezbadanych obszarów! Linijka i cyrkiel musiały wystarczyć. Przy ich pomocy stworzono ramy, które ludzie musieli jakoś zapełnić. I zapełnili je.

Granice państw tworzących Stany Zjedn. nie są, jak w Europie, wynikami długich procesów historycznych. Przeciwnie — historia każdego stanu zaczyna się od wyznaczania granic na mapie.

(d. c. n.)

Grupa brytyjska
jedzie jachtami przez kanał La Manche na Zjazd i Konferencję
Starszego Harcerstwa do Etaples

(z dziennika podróży)

Zaczęło się od wspaniałych projektów — pełnomorskie jachty, angielscy skipperzy i tak dalej, i tak dalej, jak to zwykle bywa...

Nieszczęścia rozpoczęły walić się już w końcu maja. Właściciel jednego z jachtów, który zamówiliśmy, sprzedał go i zwiał z zadatkiem. Właściciel drugiego rozmyślił się i zdecydował sam sobie gdzieś pojechać, ale przynajmniej zwrócił zadatek. Kompletowanie papierów do podań o dokumenty podróżne i wizy francuskie szło potwornie kulawo — ten fotografii nie przysłał, ten zgubił formularz, ten się o jeden raz za mało podpisał, i tak dalej i tak dalej, jak to zwykle bywa...

Ale została nam wiara i silne postanowienie, żeby z niczego coś zrobić. I te dwa czynniki zwyciężyły. Home Office poszło na rękę przyśpieszając

archiwum

wydanie dokumentów, a konsulat francuski postąpił w myśl biblijnej zasady: pukajcie, a będzie wam otworzono.

W międzyczasie rozpisywaliśmy masy niezliczone listów na wsze strony Angli, jeździliśmy do wszystkich portów dużych i małych w poszukiwaniu za jachtami. Witaliśmy się i żegnaliśmy słowami: — Jachty są? — Muszą być i będą! Nie zważając na pokpiwanie sceptyków, którzy gotowi byli się zakładać, że nic z tego nie wyjdzie, szukaliśmy uparcie i wytrwale.

No i znaleźliśmy! — Podobny do jachtu „Myris" i niepodobną do niczego „Valkyrien".

Dnia 30.7.1948 wyjechał pierwszy rzut do portu w Gravesend, gdzie nasze jednostki morskie kołysały się dumnie w czasie przypływu, lub smętnie wylegiwały się w błocie w czasie odpływu. W sobotę rano przyjechała reszta. Byliśmy pełni zapału i sił do zwalczania wszelkich przeszkód, które by ośmieliły się stanąć nam na drodze. Okazało się, że bardzo nam tego będzie potrzeba.

Przez całą sobotę i niedzielę usiłowaliśmy zapalić motor na „Valkyrien", uzupełnialiśmy prowiant i przyrządy, pochodzące notabene z ery archaicznej, oraz załatwialiśmy formalności portowe. W niedzielę po obiedzie wśród ogólnego „aaaa!" motor zaczął chodzić. Zdecydowaliśmy wyruszyć niezwłocznie do Dover.

Angielski pilot podjął się przeprowadzić nas bezpiecznie wśród zdradliwych mielizn i groźnych boj Tamizy. „Valkyrien" mając mocniejszy motor wzięła nas na hol.

Noc była cudowna, pełna gwiazd, mrugająca do nas z zachętą białymi, czerwonymi i zielonymi światłami boj. Leciutka, morska już bryza, wolna przestrzeń wokół nas i poczucie Wielkiej Przygody napełniały serce i duszę cudownym jakimś haszyszem. Wszystko się udało — jedziemy!

Pierwsza przygoda nie kazała na siebie długo czekać. Leżałem sobie na burcie „Mirys" chłonąc całym swym jestestwem miazmaty szczęścia, którymi zdawała się być wypełniona otaczająca nas atmosfera, gdy nagle z lewej strony jachtu zaczęła z wielką szybkością rosnąć w oczach stwora jakaś straszliwa z wielkim, czerwonym i gorejącym okiem. Sternik na próżno starał się skręcić, by uniknąć zderzenia. Lina, na której byliśmy holowani, uniemożliwiła jakiekolwiek próby zwrotu. Podobno, jak nam później opowiadano, wrzasnęliśmy ze skipprem jednym wielkim głosem: Co robić!?—Buch! — stało się! Boja grzmotnęła w nas całą siłą swojego bezwładu. Ale tym razem skończyło się na strachu. Wanta ofiarnie poświęciła swój opływowy kształt ratując burtę od przedziurawienia, a nas od ewentualnej kąpieli.

Rano zajechaliśmy do Dover.

Przyjechał tam nas odwiedzić druh kmdr Tymiński. Dodał on nam ducha i następnego dnia po południu wyruszyliśmy na naszych jachtach, nie-jachtach, w kierunku Boulogne.

W czwartek rano, według planu, opuściliśmy Boulogne. Celem był port rybacki w Etaples, 10 km od którego w nadmorskiej miejscowości Stela

Plage miały się odbyć Zjazd i Konferencja. „Valkyrien" warcząc swym motorem, popularnie przez nas zwanym „jet - propelerem" wysforowała się naprzód i szybko znikła nam z oczu. Wiatr był bardzo słaby i po chwili ustał prawie zupełnie. Zdecydowaliśmy się zapuszczać motor. Ten jednak definitywnie zastrajkował, pozostając nawet nieczułym na łagodne i miłosne perswazje naszych dzielnych marynarek, przepraszam, chciałem powiedzieć naszych druhen. Prąd znosił nas na kamienne molo. Nie pozostało nam nic innego, jak zarzuciwszy kotwicę, czekać na jakąś litościwą rybacką barkę, która zgodzi się łaskawie zaholować nas do portu. Korzystając z okazji postanowiliśmy się wykąpać. Śmiesznie to wyglądało, bo asekurując się przed silnym prądem, skakaliśmy do wody owiązani wpół linką. Ale kąpiel była świetna.

O 3 po poł. jakaś krypa, wracająca do Boulogne, zauważyła nasze rozpaczliwe wymachiwanie rękami i w godzinę potem byliśmy już z powrotem tam, skąd rano wyjechaliśmy.

Wysłaliśmy do Etaples depeszę o naszych nieudanych wysiłkach i poszliśmy zwiedzić miasto, zostawiając motor na opiece francuskiego mechanika. Niestety, Boulogne, poza małomiasteczkowym lunaparkiem i kasynem gry, było tylko kupą rumowisk i zniszczeń wojennych.

W piątek rano przyjechał z Etaples Jurek P. Opowiedział nam, ile strachu napędziliśmy reszcie, nie zjawiając się wieczorem. (Depesza wróciła do nas w godzinę po przyjeździe Jerzego z powrotem — to nie Anglia, gdzie można wrzucić niezaadresowaną kopertę, a ta i tak dojdzie!). Wyjeżdżano z Etaples parę razy, bohatersko, na bączku na morze, wyglądając nas na próżno. Wobec zbyt wolno postępującej naprawy, do Etaples pojechaliśmy koleją.

Nie będę się rozpisywał o Zjeździe i Konferencji, o której na pewno będzie aż za dużo przeróżnych artykułów, wspomnę tylko o bardzo gościnnym przyjęciu przez nasze Harcerki z Francji, w których rękach leżała organizacja obozu, jak również o staraniach dobrego Żurawia, który jako kwatermistrz zjechał tam z Paryża. Poza burzą piaskową, która pozrywała nam w niedzielę rano namioty z nad głowy i rozsypała po krzakach notatki z Konferencji (niestety ku utrapieniu sekretarza, który miał nadzieję że już nie będzie potrzebował pisać protokułów, wszystkie się odnalazły) i boskimi kąpielami wieczornymi w morzu, jak i niezapomnianymi włóczęgami po piaskowych wzgórzach, nie było żadnych nadzwyczajnych zdarzeń.

Część uczestników po skończonych obradach pojechała „szaleć" do Paryża, mając przeciętnie po 1.500 fr. w kieszeni, ale przecież nam młodym tak dużo do szczęścia nie potrzeba — ruch, swoboda, słońce i uśmiech na twarzy — to najlepsza recepta.

Na środę rano został ustalony wyjazd do Boulogne. Pogoda była fatalna. Podczas tych kilku dni, które spędziliśmy w Stella Plage, około 30 osób zginęło na kanale, a będąc pod wrażeniem tych wieści nie bardzo mogliśmy się jakoś zdecydować na wyjazd. Korzystając, że obok naszego jachtu zacumował swój pewien komandor brytyjski, udaliśmy się do niego na naradę. Zapowiedział on pogorszenie się pogody i brak nadziei na poprawę na przeciąg kilkunastu następnych dni. Obecną uznał za jeszcze nie taką złą. Nie pozostało nam wobec tego nic innego jak płynąć natychmiast. Wyruszyliśmy o 4 po poł. „Valkyrien" przyjechała już o 10-ej wieczorem do Dover i zacumowała w porcie łodzi podwodnych z czasu wojny. „Maris" przyjechała o 2.30 nad ranem. Przejazd był z powodu deszczu i wzburzonej fali bardzo ciężki, ale jakoś wszystko dobrze poszło. Szczęścia mieliśmy dużo, bo na dobitek pomyliliśmy się wchodząc do portu w Dover i wjechaliśmy zamkniętym dla ruchu wejściem, w którym stoi wrak. Przesunęliśmy się tuż obok niego.

W piątek dojechaliśmy do Ramsgate. „Valkyrien" okazała się nieszczelną. Uś, co za złe wychowanie! Trzeba było pompować bez przerwy. Nam się popsuł znów, „dla towarzystwa", motor. Wysłaliśmy telegramy do właścicieli jachtów, prosząc ich o odebranie tychże na miejscu. Nasz właściciel na to się nie zgodził i stanęliśmy wobec perspektywy pchania się na siłę do Gravesend. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy się tak bardzo tym zmartwili, wycieczka przedłużyła się o co najmniej 2 dni! Wyruszyliśmy tego samego dnia wieczorem i gładko dojechaliśmy do Margate. Zaraz na wstępie osiedliśmy w tym płytkim porcie na mieliźnie. Skipper nasz musiał jechać bączkiem na molo, gdzie przymocował linkę, za którą ciągnąc, wspólnymi siłami, ku wielkiej uciesze obseswujących nas z mola Anglików, zsunęliśmy się na głębszą wodę. Przycumowaliśmy się do boku jakiegoś transportowca i po krótkim spacerze udaliśmy się na zasłużony odpoczynek. Ale nie danym nam było spać spokojnie tej nocy. Około 12-ej jacht nasz zaczął przechylać się gwałtownie na bok. Okazało się, że w czasie odpływu port wysycha całkowicie, zamieniając się w rozkoszne bajorko. Na próżno usiłowaliśmy, przymocowując się nowymi linkami do brzegu, uratować sytuację i odzyskać równowagę. Osiem ton martwej wagi naszego lewiatana raz minąwszy szczytem masztu swój punkt ciężkości, nie dało już się zatrzymać w swoim pędzie ku błotu. Linki pękały jakby były z papieru. Zrezygnowawszy więc z naszych daremnych wysiłków, poszliśmy spać dalej na ścianach jachtu, w pozycjach conajmniej niecodziennych.

Rano przypływ podniósł nas łaskawie do właściwego położenia. Powiązawszy jako tako linki i przekonawszy motor, że powinien zaskoczyć, wypłynęliśmy w kierunku Gravesend, spodziewając się być wieczorem na miejscu.

Okazało się jednak, że losy zdecydowały inaczej. Wiatr mieliśmy z prze-

archiwum

du i z trudem posuwaliśmy się naprzód. Odpływ zastał nas jeszcze przed ujściem Tamizy. Motor tym razem zdecydowanie odmówił posłuszeństwa, a że nieszczęścia zwykle chodzą w parze, zerwała się silna fala. Szorując nieraz kilem po skałach i mieliznach, co wywoływało lekki dreszczyk sensacji w załodze, szerokimi zygzakami usiłowaliśmy zwalczyć siłę prądu, który pchał nas z powrotem w kierunku Margate. Zajęci żaglami, nie zauważyliśmy, że bączek nasz, który ciągnęliśmy za sobą z tyłu na lince, napełnił się całkowicie wod . Rzuciliśmy się, by go jakoś ratować. Na próżno! Jacht, korzystając z naszej chwilowej nieuwagi, nieprzyzwoicie i nahalnie zaczął się pchać na mieliznę. Bączek nie pozwalał na wykonanie najmniejszego zwrotu, paraliżując swym bezwładem wszelkie ruchy steru. Musieliśmy z bólem serca zdecydować się na odcięcie linki i pożegnanie się z naszą szalupą. Trudno się mówi! Mieliśmy do wyboru: albo osiąść na mieliźnie z bączkiem, albo dopłynąć do Gravesend bez bączka. Wybraliśmy to drugie. Zaczęło się robić ciemno. O przybiciu do brzegu nie było mowy. Żaden manewr nie wychodził! Zarzuciliśmy więc kotwicę i zabraliśmy się do szykowania noclegu.

Rano, skoro świt, ruszyliśmy dalej i już o 10-ej, w cztery godziny później, witaliśmy znowu Gravesend. Zrobiliśmy jaki taki porządek na jachcie i zdaliśmy go uszczęśliwionym właścicielom. Opowiadali nam oni, że już tracili chwilami nadzieję, że swój jacht jeszcze oglądać będą. A my wyszliśmy na ląd, czując się jak stare wilki morskie i z góry patrząc na tłumy, uważając je za lądowe szczury.

T. Patzer.

NA FUNDUSZ PRASOWY „NASZEGO ŻYCIA"

złożyli:

Dh H.R. Franciszek Kuropka (Limmer) . 4 DM

Dhna Krystyna Tendorf (Augustdorf) . . 5 DM

Wydawca — w imieniu Głównej Kwatery Starszego Harcerstwa — Krąg Starszoharcerski im. A. Małkowskiego w Bad Münder, Ziegenbuche 6

Adres Głównej Kwat. St. Harc.: 45, Gloucester Road, London S.W.7, England

archiwum

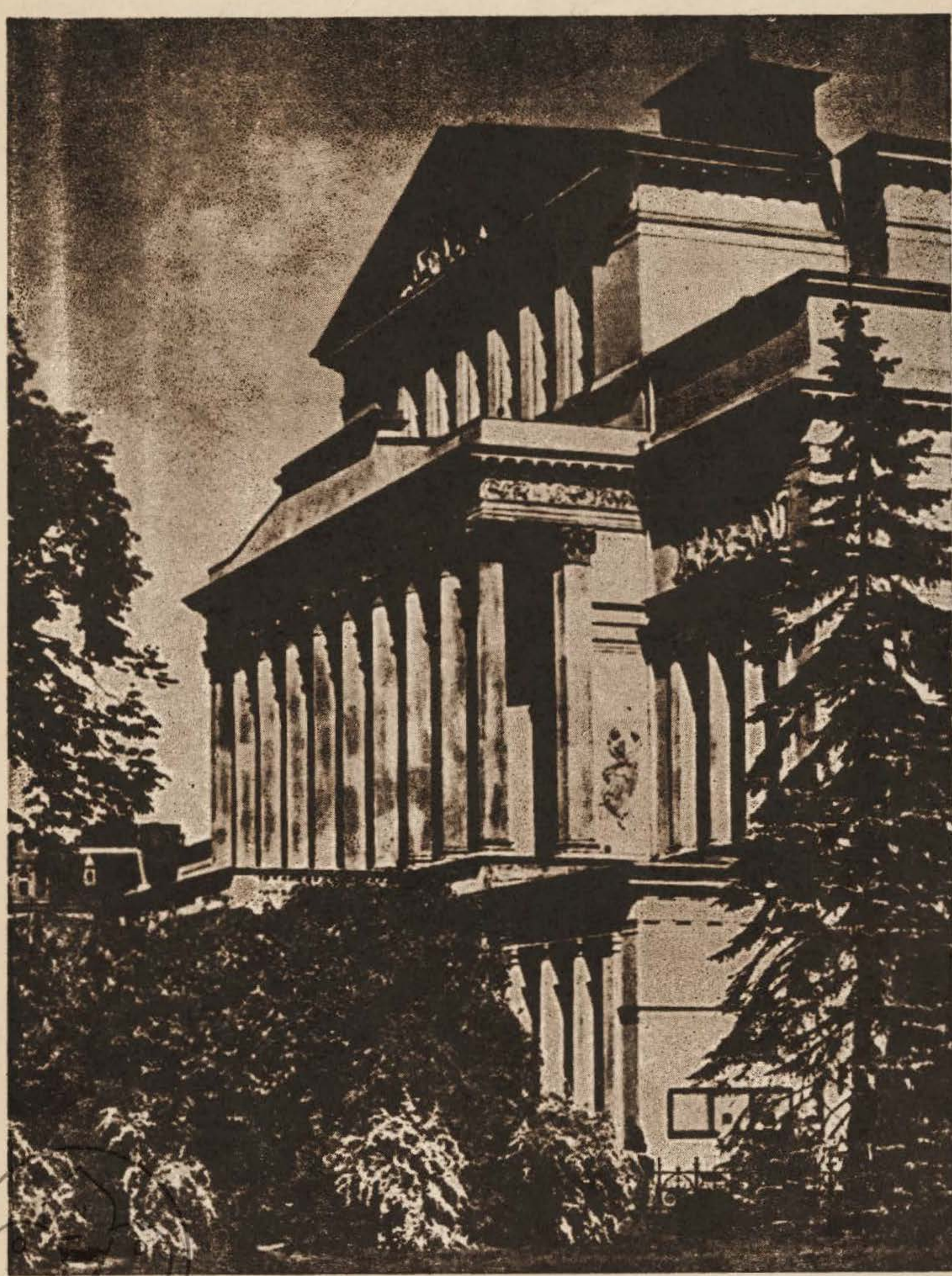

CZY ZNASZ POLSKĘ?

NWH
archiwum

Wydawnictwo „Naszego Życia". Zdjęcie Nr 8.

archiwum